



Jak śmierć jest cicha

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

JAK ŚMIERĆ JEST CICHĄ

Kryminał z myszką – Tom 56

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-59-1

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsza publikacja: Ilustrowany Kurier Polski (w odcinkach), rok 1962

Prolog

Skręcił w lewo i wolno, ledwie posuwając się, jechał wzdłuż muru otaczającego teren szpitala. Noc była zimna, wiatr zrywał z drzew ostatnie zeschnięte liście i rozrzucał je po ulicy. Czarna octavia sunęła miękko po gładkim asfalcie, prowadzona ręką pewną i ostrożną.

Spojrzał na tarczę samochodowego zegara, potem porównał ze swoją „Doxą”. Dochodziła druga. Zatrzymał wóz tuż przy małej furtce, widać rzadko kiedy używanej, bo zarośniętej dzikim winem i chwastami. Wysiadł, cicho zamknął drzwiczki i rozejrzał się dokoła. Na ulicy było pusto, z daleka nie dochodził żaden odgłos kroków, głosów czy pojazdu. Wiedział – przekonał się o tym niejednej nocy – że o tej porze nie spotka tu żywego ducha. Wiedział też, że patrol milicji rzadko kiedy zagląda nocą na tę spokojną, właściwie prawie niezamieszkałą uliczkę.

Mimo to czekał jeszcze przez chwilę, rozglądając się, nasłuchując i łowiąc uchem wszystkie szmery – ale były to tylko zwiędłe liście, poruszane porywami jesiennego wiatru. Wreszcie wyjął z kieszeni niewielki klucz, włożył go w zamek furtki, delikatnie odsuwając pnące winorośle i powój. Raz jeszcze rzucił dokoła uważne spojrzenie, po czym szybkim ruchem przekręcił klucz, otworzył i natychmiast znalazł się po tamtej stronie muru.

Tak. To był jednak dopiero początek, wcale nie najtrudniejszy, tego co zamierzał teraz wykonać. Odetchnął głęboko, zamknął furtkę i postąpił parę kroków w stronę niskiego budynku o typowym kształcie, z małymi oknami opatrzonymi gęstą siatką. Okna były ciemne, tutaj zresztą i tak nie było nikogo, a raczej...

Przelotnie pomyślał o nocnym stróżu, czy jak tam on się nazywa, ale wiedział, że nocą nigdy tutaj nie zagląda. Mogło więc zdarzyć się tylko jedno, i tego najbardziej się obawiał. Mogli tutaj kogoś przynieść. Nie był pewien, czy nie robią tego właśnie w nocy, ze względu na chorych.

Trzeba było się pośpieszyć. Niski budynek położony był dość daleko od najbliższego pawilonu, mimo to obawiał się zapalić lampę, wiszącą nad wejściem. Posługując się ostrożnie kieszonkową latarką, której światło przyćmił niebieską bibułą, otworzył bez większego trudu drzwi i wszedł do środka.

Wpierw była duża, czworokątna sień. Stały tam żelazne nosze, w kącie walały się jakieś wieńce, łopata, szmaty. W jednym rogu dojrzał kubek z resztką wystygłej kawy i cień uśmiechu wykrzywił mu wargi. No cóż... do każdego zajęcia można się przyzwyczaić i potem nie robi już ono wrażenia.

Drzwi, wiodące do pokoju po lewej stronie, były lekko uchylone. Wiedział już, że to tam. I nagle poczuł, że ogarnia go strach. Dziki, nieludzki strach, od którego serce zaczyna walić jak szalone, nogi drętwieją, a po plecach spływa zimny pot. Trzęsącymi się rękami w miękkich, skórzanych rękawiczkach sięgnął do kieszeni po papierośnicę i zaraz schował ją z powrotem. Nie wolno. Żadnych śladów. Nie patrząc na uchylone drzwi starał się oddychać głęboko, miarowo, aż uspokoił serce i opanował nerwy. Wtedy wszedł.

Zobaczył ją od razu, na środkowym stole; twarz była odkryta, reszta ciała rysowała się niewyraźnie pod białym prześcieradłem. W tym momencie odzyskał spokój. Nie zauważył nawet tamtych zwłok; leżało ich kilka, wszystkie tak przeraźliwie jednakowe mimo różnego wyglądu. Nie patrzył po prostu na prawo ani na lewo, widział tylko ją. Rana na czole zeszyta była starannie, o nogach – tak straszliwie poszarpanych – nie chciał myśleć. Szybkim, energicznym ruchem zarzucił prześcieradło na twarz, uniósł ciało, przez ciepły płaszcz nie czuł nawet jak bardzo było zimne. Straciło już swoją poprzednią sztywność i dawało się nieść jak za życia. Stąpał ostrożnie po betonowej podłodze, latarkę umieścił na ramieniu i przytrzymał ją głową. Udało mu się zamknąć drzwi – tamte pozostawił uchylone, jak były – a kilkanaście metrów do furtki przebył z łatwością, jakby nie niósł martwego ciężaru. Przez parę sekund mocował się potem z drzwiczkami samochodu, ale i to się udało. Położył zwłoki

na tylnym siedzeniu, nakrył przygotowanym uprzednio kocem, na to narzucił gazety i dużą skórzaną torbę. Wyglądało zupełnie normalnie. Wszystko obmyślił, na wszystko był przygotowany – teraz bał się trochę jakiejś kontroli na drodze, ale właściwie dlaczego mieliby go kontrolować? Nie wyjeżdża przecież poza granice Warszawy.

Zamknął furtkę, nasunął winorośle, poprawił nawet przydeptane chwasty. Do zamka sypnął garść ziemi, aby usunąć ślady klucza. Przez chwilę przyglądał się jeszcze trawie rosnącej wzdłuż muru, ale nic już nie wymyślił. Siadł więc do samochodu i zapuścił motor. Spojrzał na zegarek. Wszystko razem zajęło mu nie więcej niż dwadzieścia i pół minuty.

Zawrócił w miejscu, dodał gazu. Po paru zakrętach skierował się na Mokotów.

Rozdział 1

Tego roku lato było wyjątkowo paskudne. Przez cały lipiec i sierpień lało niemal bez przerwy, a porywisty, zimny wiatr przenikał aż do kości. W połowie sierpnia niektórzy powyciągali z szaf ciepłe swetry i szaliki, klnąc nieudany urlop. Wczasowicze wracali do miasta bladzi, źli, z sinymi nosami; kto jeszcze mógł, przesuwał sobie termin urlopu na jesień. I tylko ci, którym udało się wyjechać nad Morze Czarne lub nad Balaton, odbijali od innych piękną, brunatną opalenizną.

Zupełnie niespodziewanie ostatni dzień sierpnia – był to czwartek – wstał ciepły i nareszcie wyjrzało słońce. Pod wieczór ucichł wiatr, a pierwszy dzień września wyglądał raczej na pierwszy dzień lipca. Ludzie z powrotem schowali swetry i wyciągnęli kostiumy kąpielowe. Zapełniły się plaże, a opustoszały kina, które w tym roku – nie tylko dzięki „Vera Cruz” – przynosiły nienotowane od dawna zyski.

W sobotę, późnym wieczorem, na Dworcu Głównym w Warszawie pełno było jak w upalne lato. Kto tylko zachował jeszcze choć tydzień urlopu, wyjeżdżał nad morze. Wagony zapchane były do niemożliwości, ale wciąż jeszcze – nie wiadomo jakim cudem – napływali do nich nowi pasażerowie. Nie było tylko dzieci w wieku szkolnym. Te spały, zmęczone wrażeniami pierwszych dni nauki.

Pociąg do Gdyni i Helu stał jeszcze na stacji. Do odjazdu brakowało sześć i pół minuty. Konduktor wagonu sypialnego bezradnie rozłożył ręce, tłumacząc po raz dziesiąty, że naprawdę wszystkie miejsca są wyprzedane. Grupka osób stała przed nim i patrzyła błagalnie, jak gdyby spodziewając się, że nagle zmięknie i odstąpi komuś własne łóżko w służbowym przedziale.

Dyżurny ruchu spojrział na zegarek, a potem na tłum, ugniatający się cierpliwie w ciepłych jeszcze od słońca wagonach. Pomyślał właśnie, że znowu gazety napadną na PKP za brak „pomyślunku”. I że przecież od paru dni wiadomo było, że nadchodzą upały. Zdjął czapkę, przesunął ręką po mokrych od potu włosach. Mimo późnej godziny wciąż jeszcze było gorąco.

I wtedy nagle młody mężczyzna w kolorowej koszuli i szortach, który stał niedaleko dyżurnego, osunął się bezwładnie na ziemię.

– Oho! – zawołał przejeżdżający właśnie elektrycznym wózkiem pracownik poczty. – Ten ma dosyć na dzisiaj.

– Uchłał się – przytwierdził któryś z numerowych. Podeszedł do leżącego, nachylił się nad nim, a potem krzyknął.

– Co tam jest? – zapytał dyżurny nakładając z powrotem czerwoną czapkę. W ważniejszych chwilach wołał ją mieć na głowie.

– Krew – odparł tamten przestraszony. – On jest... Wacuś! – zawołał do przechodzącego kolegi. – Leć po porucznika. Wiesz, do komisariatu. Tego – nachylił się znowu nad leżącym – chyba ktoś nożem.

Obok zgromadził się momentalnie tłum gapiów. Jakaś kobieta krzyknęła histerycznie, mężczyźni patrzyli na wąski, ciemny strumyczek krwi, spływający z szyi chłopaka w kolorowej koszuli. Ktoś odwrócił się, bo go zemdliło.

Przez tłum przebijał się starszy, siwy pan w króciutkich spodenkach i z plecakiem.

– Proszę mnie przepuścić – powtarzał niecierpliwie. – Jestem lekarzem... Proszę się odsunąć.

Rozstępowali się niechętnie, każdy chciał widzieć, co będzie dalej. Za plecami lekarza wyrósł nagle funkcjonariusz milicji, dwóch innych w milczeniu odsuwało gapiów, patrząc uważnie po twarzach.

Lekarz przyklęknął obok leżącego, ostrożnie dotknął szyi, podniósł powiekę, przez chwilę słuchał uderzeń pulsu. Był zanikający. Potrząsnął bezradnie głową.

– Pogotowie, natychmiast – głośno powiedział do nikogo i do wszystkich. Wyciągnął z kieszeni chustkę, zawahał się i wsunął ją z powrotem. Nie była na tyle czysta, aby móc nią przewiązać ranę. Ale każda minuta bez opatrunku groziła chłopakowi śmiercią. Więc wyciągnął chustkę raz jeszcze i spróbował jednak przewiązać szyję.

Porucznik Kozieł, kierownik Komisariatu Kolejowego MO, skinął na jednego z funkcjonariuszy i kazawszy mu dzwonić po Pogotowie Ratunkowe, sam rozglądał się dokoła. Pod jego ostrym wzrokiem gapiący się mimo woli odstępowali na boki.

Diżurny ruchu podszedł do oficera i wymownie pokazał mu zegarek. Był czas odjazdu.

– Można?

Porucznik zawahał się przez chwilę, a potem skinął głową. Trudno. Sprawa poważna, usiłowanie zabójstwa albo nawet zabójstwo z premedytacją – ale przecież nie można wstrzymywać kilkuset osób siedzących już w wagonach. A zresztą ten, co uderzył nożem – zaraz, czy naprawdę nożem? Oficer nachylił się nad leżącym.

To nie był nóż. To był pocisk. Mimo szeroko teraz rozlanej krwi, można to było stwierdzić z całą pewnością. Porucznik wyprostował się i raz jeszcze spojrzał na stojących obok niego gapiów.

– Czy nikt nie słyszał strzału? – spytał tak głośno, aby mogli odpowiedzieć mu i ci, którzy wychylali się z okien wagonów.

Pociąg drgnął i z wolna zaczął się toczyć po szynach.

– Czy nikt nie słyszał strzału? – powtórzył porucznik.

Na peronie została spora gromadka odprowadzających. Patrzył na nich z napięciem, jakby prosząc wzrokiem o odpowiedź.

– Może to był i strzał – zaczął z namysłem niski, krępy mężczyzna o wyglądzie robotnika budowlanego. Na głowie, mimo gorąca, miał szarą czapkę. – Ale akurat gadano przez ten... mikrofon, czy jak mu tam. Stałem tu – pokazał ręką miejsce niedaleko leżącego – kiedy coś jakby stuknęło. No i potem on się przewrócił.

– Ja też słyszałem – rzekł piegowaty harcerz o długich, szczupłych nogach. Był lekko zmieszany, ale starał się mówić rzeczowo, jak dorosły. – Nawet pomyślałem, że to brzmi tak jak strzał, ale któż by tu na dworcu strzelał? – Spojrzał na oficera trochę bezradnie. – Przetaczali wózki – wskazał na halę bagażową – więc potem pomyślałem, że pewnie tam coś upadło.

W tym momencie wszyscy odwrócili głowy w lewo, bo stamtąd dobiegło wycie syreny. Karetka wypadkowa, kremowa nysa z granatowym pasem przez pół, wjechała na peron. Wysiadł młody, na jeża ostrzyżony lekarz i sanitariusz, który taszczył walizkę z przyrządami.

Po zastrzyku ranny otworzył oczy. Kozieł pochylił się nad nim, gdy leżał na noszach, i przyjrzał się tym oczom. Były przytomne.

– Kto cię rąbnął? – spytał idąc obok noszy. – Kto do ciebie strzelił?... Słyszysz mnie?

Błede wargi poruszyły się lekko. Oficer nachylił głowę.

– Kto do ciebie strzelał? – powtórzył. – Słyszysz, co mówię? Rozumiesz mnie?

Sanitariusz z kierowcą doszli do karetki i zatrzymali się trochę niezdecydowanie. Obaj ze swego długoletniego doświadczenia wiedzieli, że jeżeli milicja nie usłyszy od zranionego, kto to zrobił, będą potem długie korowody i może nawet sprawca nigdy nie zostanie wykryty. Z drugiej strony jednak chodziło o życie człowieka, a każda minuta miała tu swoje znaczenie.

– Prędzej – syknął niecierpliwie lekarz Pogotowia. – Na co pan czeka, panie Zdzisławie?

Wysoki, blisko dwumetrowy sanitariusz zerknął spod oka na porucznika, a potem ostrożnie wsunął nosze do wozu. Oficer wszedł tam jako ostatni, przykucnął obok rannego i pilnie wpatrywał się w jego twarz. Znowu zajęczała syrena, kierowca łagodnie zakręcił i wyjechał w Towarową.

Sanitariusz podrapał się fraszobliwie w podbródek.

– Chyba nie ma po co do nas jechać – rzekł nieosobowo. Lekarz siedział na przednim siedzeniu. – Lepiej od razu do zakładu.

– Jedziemy na Hożą – uciął doktor.

„Dwumetrowy” wzruszył lekko ramionami. O wiele dłużej żył na świecie niż młody lekarz, a w Pogotowiu pracował od dziesięciu lat. Miał oko na konających. Nie powiedział jednak już nic. Wiadomo, lekarz zawsze na swoim postawi.

Zajechali na Hożą, pędem skręcili w podwórze. Na jęk syreny ktoś wyrzwał z okna, a po chwili na schodach ukazał się jeszcze jeden sanitariusz, pielęgniarka i sprzątaczką w szarym fartuchu.

– Drugie ambulatorium – rzucił lekarz, idąc tuż za noszami. Porucznik Koziół nie odstępował rannego ani na chwilę. Weszli na schody, kierowca zasapał się, bo był niższy od sanitariusza i źle mu było nieść.

W ambulatorium nr II, jak zwykle o tej porze, tłoczyli się chorzy: jakaś dziewczyna z oparzoną ręką, mężczyzna z gwoździem wbitym w podeszwę nogi, starsza kobieta ze złamanym ramieniem, już po rentgenie. Drugie tyle czekało na w korytarzu pod drzwiami. Nigdy nie można było ich utrzymać w poczekalni, każdemu zdawało się, że jak przy drzwiach, to będzie prędzej, mimo iż sanitariusze surowo przestrzegali kolejności.

Ale, oczywiście, pierwszeństwo miały wypadki uliczne i tacy chorzy, których wnoszono do ambulatorium. Toteż wysoki sanitariusz bez skrupułów wyprowadził starszą panią, która miała już ramię w gipsie i tylko „chciała popatrzeć”, odsunął w kąt dziewczynę z oparzoną przed trzema dniami ręką i wraz z lekarzem pochylili się nad rannym. Drugi lekarz, dyżurujący tej doby w ambulatorium nr II, kapitan Korzan, badał mu puls. Miał przy tym minę nie wyrażającą nic dobrego.

– Kofeinę? Kamforę? – spytała siostra w biało-granatowym czepku, trzymając oba zastrzyki w ręku.

Obaj lekarze porozumieli się oczami. Korzan wydał wargi i wzruszył ramionami.

– A mówiłem... – mruknął „dwumetrowy” i zarzucił na twarz leżącego biały kawał płótna. – Przecież to od razu było widać.

Ulżyło mu, więc już bez urazy spojrzął na młodego lekarza. Pewnie, skąd taki ma mieć doświadczenie. Tyle trupów widział, co w prosektorium. No, może jeszcze z dziesiątkę.

Porucznik ukląkł przy zmarłym i przeszukiwał mu kieszenie. Z wewnętrznej w marynarce wyciągnął zmięty, obstrzępiony na brzegach dowód osobisty, pudełko „mocnych”, zapalki. Z innej bilet miesięczny i kopertę z fotografią jakiejś dziewczyny. Zagłębił rękę w kieszenie spodni. Nagle dłoń jego znieruchomiała na chwilę, a potem szybko wyciągnęła metalowy przedmiot o specyficznym kształcie. Był to kastet.

– Bandzior – drugi sanitariusz przyjrzał się kastetowi z zaciekawieniem. – A wygląda po śmierci jak aniołek.

– Może nosił to dla obrony? – zauważył doktor Korzan i ziewnął. Pełnił dyżur od ósmej rano, teraz był już późny wieczór. Czekala go jeszcze cała noc pracy, a potem dyżur w

szpitalu. Nigdy nie mógł się z tym pogodzić, zresztą nie on jeden. Wśród lekarzy panowała powszechna opinia, że po dwudziestogodzinnej orce w Pogotowiu nikt nie jest w stanie pracować dalej bez snu i odpoczynku. Mimo to pracowali, gdyż takie były przepisy. Trzymała ich czarna kawa, mocny papieros i siła przyzwyczajenia.

Spojrzał na młodego kolegę z trzeciego zespołu i zaproponował mu krótki wypad na górę, do świetlicy. Lekarz zgodził się chętnie. W razie nowego wyjazdu zespół trzeci, jak i wszystkie inne, będzie przez dyspozytora poszukiwany w każdym zakątku gmachu.

W świetlicy panował półmrok, grupka pracowników skupiła się przed telewizorem. Wyświetlano interesujący, świetnie grany film szwajcarski „W biały dzień”. Doktor Matthei przedzierał się właśnie przez las, tropiąc mordercę...

Obaj lekarze nie mieli jednak czasu na oglądanie filmu. Wzięli z bufetu kawę i bułki z baleronom, jedząc szybko i mimo woli nasłuchując, czy z megafonu nie rozlegnie się wezwanie.

– Ile razy pan wyjeżdżał? – spytał Korzan z ustami pełnymi wędliny.

– Sześć. A u was, w ambulatorium, zawsze takie piekło?

– Zawsze. Od rana przyjęliśmy sto siedemnaście osób. Niech pan odkraja ten kawałek bułki, bo brudny pod spodem... Jeden pijany facet wyrzygał mi się na fartuch, musiałem zmieniać. Do tych pijaków to już nie mam zdrowia. Czy Zdzisław mówił panu w karetce, że tamten już kończy?

– Mówił, żeby jechać od razu do zakładu – przyznał młody lekarz.

– Może pan mu wierzyć. On już na tej robocie zęby zjadł. Dziesięć lat w Pogotowiu to dla sanitariusza jakby Akademia Medyczna. Operację mógłby sam zrobić. Oczywiście nigdy nie robi, bo nie wolno. Ale by potrafił.

W ambulatorium rejestratorka wzięła z rąk porucznika dowód osobisty, aby wpisać do książki personalia zabitego. Oficer stał obok niej, patrząc, jak wypełnia rubryki i mruczy do siebie po cichu: nazwisko, adres, miejsce pracy... Potem odebrał dowód i schował do kieszeni wraz z kastetem. Poprosił o pozwolenie zatelefonowania, co było raczej grzecznościową formułą i na co nikt nie zwrócił uwagi. Połączył się z Komendą Miasta MO, zreferował krótko, co zaszło, a dowiedziawszy się, że zaraz przyjedzie do niego ktoś z „dochodzeniówki”, odłożył słuchawkę. Na tym jego rola się kończyła. Komisariat Kolejowy nie zajmował się dochodzeniem.

Czekał jednak oczywiście na przyjazd tego „kogoś”, siedząc w sąsiednim ambulatorium nr I, które czynne było tylko do godziny dwudziestej drugiej i teraz postawiono tam nosze ze zmarłym, aby nie straszyć pacjentów. Usiadł pod oknem. Zobaczył, jak na ulicy, tuż obok Pogotowia, dwóch mężczyzn nagle rozpoczęło bójkę, a po chwili usłyszał klaksony. Buczały przeciągle, natarczywie. To kierowcy na pobliskim postoju taksówek wzywali w ten, od dawna umówiony sposób, milicję. W pierwszym momencie zerwał się nawet i nałożył czapkę, ale zaraz usiadł z powrotem. To nie jego sprawa, jemu nie wolno było odejść od zwłok, zanim nie przyjadą z komendy.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU
ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI